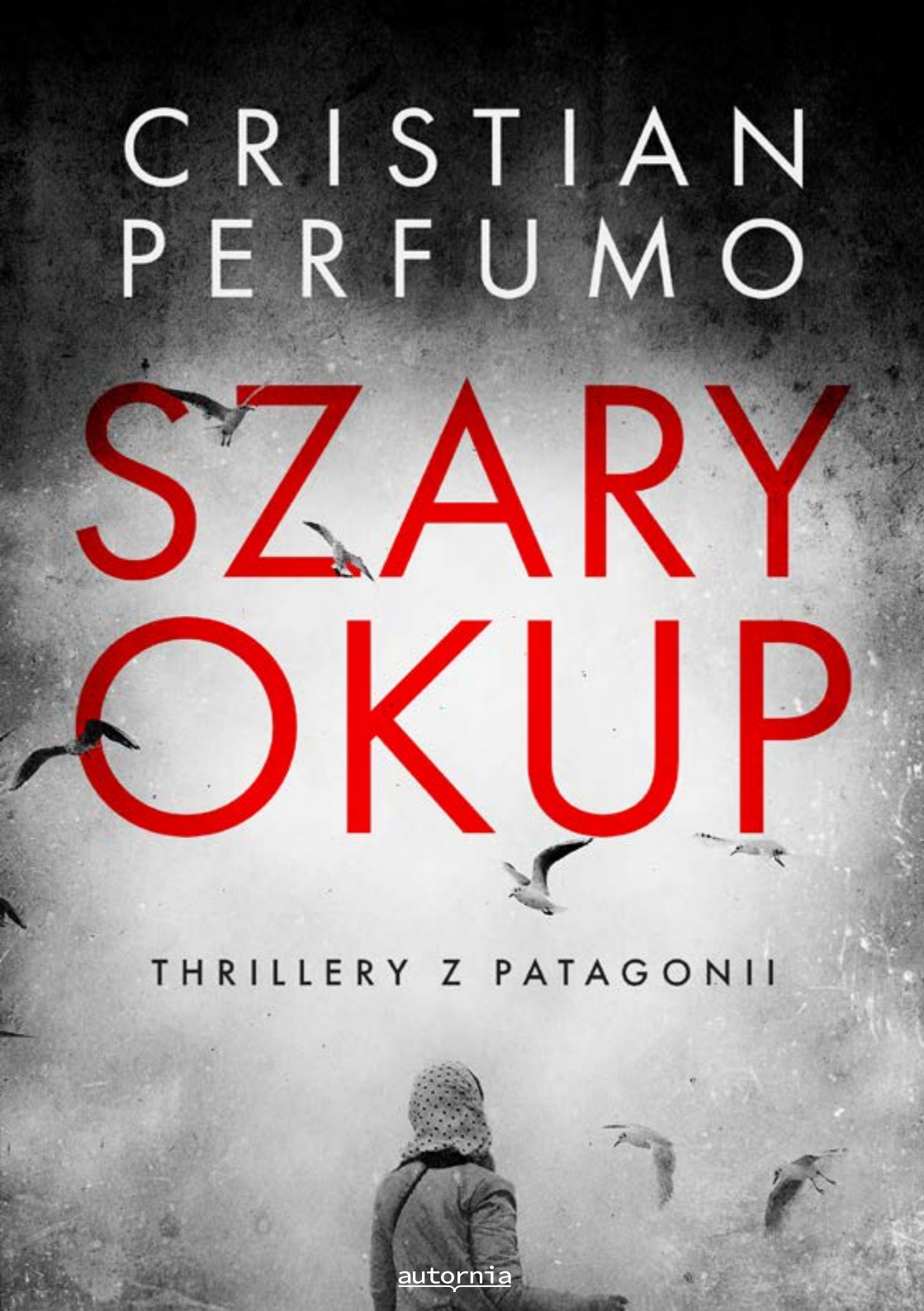
CRISTIAN PERFUMO

SZARY OKUP

THRILLERY Z PATAGONII



autornia

Szary okup

Cristian Perfumo

(fragment)

ROZDZIAŁ 1

Wtorek, 13 sierpnia 1991, godz. 7:30

Pierwsze ostrzeżenie o tym, że coś jest nie tak, wysłał mój nakręcany budzik. Jego dzwonek zabrzmiał identycznie jak co dzień, ale gdy wyciągnąłem rękę, aby go wyłączyć, poczułem, że cały jest pokryty kurzem. Jakby go nikt nie czyścił od wielu lat.

Włączyłem małą lampkę obok łóżka i zobaczyłem białą mgiełkę unoszącą się w powietrzu.

Pachniało siarką.

– Graciela, co się stało? – powiedziałem.

Ale miejsce w łóżku obok mnie było puste. Dziwne, bo Graciela kończyła prowadzić zajęcia w szkole dla dorosłych o wpół do dwunastej w nocy i rzadko kiedy kładła się spać przed pierwszą. Przez siedem miesięcy naszego pożycia nigdy nie wstała wcześniej ode mnie.

– Kochanie, gdzie jesteś? – zawołałem ją, podnosząc głos. Odpowiedział mi jedynie odgłos podmuchów wiatru uderzającego w blaszany dach.

Wstałem z łóżka, by poszukać żony, ale zatrzymał mnie widok komody pokrytej grubą warstwą kurzu.

Przejechałem po niej palcem, rysując na wypolerowanym drewnie wzór w kształcie litery „s". Szary pył, który osiadł na wskazującym palcu, był drobny jak talk, ale bardziej szorstki niż kurz gromadzący się w niesprzątanych kątach domu. Wyglądało to tak, jakby nocą ktoś

rozsypał kilka worków cementu pod sufitowym wentylatorem, a ten rozwiał go po całym domu.

– Graciela, coś się stało? – krzyknąłem.

Sadząc duże kroki ruszyłem korytarzem do kuchni połączonej z jadalnią, ale nie było jej tam ani w łazience, ani w drugim pokoju.

– Graciela! – zawołałem po sprawdzeniu całego domu, choć już wiedziałem, że to na darmo.

Wróciłem do kuchni, w której również każdy mebel, każda ozdoba, każdy centymetr był pokryty pyłem. Czajnik ze stali nierdzewnej, w którym Graciela codziennie rano podgrzewała wodę na mate, był lodowaty, a na wieszaku przy drzwiach do jadalni nie było jej płaszcza.

Jakiś hałas na podwórku zwabił mnie do okna. Było jeszcze ciemno, ale zauważyłem, że drewniana furtka na ulicę jest otwarta. Wiatr, wiejący tego ranka z tę samą siłą co zawsze, uderzał nią o ogrodzenie.

Jednak kawałek drewna, targany niewidzialną ręką, nie miał większego znaczenia. Niezwykłe było to, że całe podwórko miało jednakowy kolor. Nagietki, jedyne rośliny, które taki lichy ogrodnik jak ja, potrafił utrzymać przy życiu w patagońskiej zimnicy, ktoś odarł z pomarańczy płatków i zieleni liści. Nasz ogród widziany z okna wyglądał jak czarno-biała fotografia. Wszystkie kolory pogrzebał pył, który sypał się z nieba jak szary śnieg.

Próbowałem zachować spokój i powtarzałem sobie, że musi istnieć logiczne wytłumaczenie tego, co zobaczyłem i nieobecności Gracieli.

Może to był tylko sen.

Silny podmuch wiatru pchnął okno, grożąc jego otwarciem. Pył niesiony wiatrem uderzał w szybę wydając dźwięk przypominający syczenie. Wtedy na ścieżce prowadzącej przez ogród zauważyłem ślady oddalających się od domu kroków.

Gdy otworzyłem drzwi, tysiące drobin uderzyło mnie w twarz, wyciskając niemal natychmiast łzy w oczach. Mrugając bezwiednie powiekami starałem się skupić na odciskach, które bez wątpienia były śladami butów mojej żony. Trop kierował się do furtki, a następnie kilka metrów dalej

znikał na pasie skalistej ziemi, który oddzielał ulicę od chodnika. Na tej nierównej powierzchni trudno było dostrzec cokolwiek.

W każdym razie było dla mnie jasne, że Graciela nie przeszła na drugą stronę asfaltu, bo widniały na nim jedyne ślady opon, zbliżające się najpierw w moją stronę, a następnie oddalające się ku środkowi ulicy.

Serce zaczęło bić mi szybciej. Graciela wyszła z domu w środku pyłowej burzy i wsiadła do samochodu. Tak zinterpretowałem historię, którą opowiadały znaki na ziemi.

Ruszyłem śladami kół klnąc, że oddałem samochód do mechanika. Po przejściu trzydziestu metrów znalazłem się na wprost domu Fermina Almeidy. W kuchennym oknie zobaczyłem sylwetkę właściciela. Jak zwykle siedział na krześle i wyglądał na zewnątrz. Na mój widok uniósł w pozdrowieniu butelkę i pociągnął łyk.

Wiatr wiał mi w plecy, ale mimo to podrażnione oczy wciąż łzawiły. Otarłem twarz dłonią i zauważyłem, że skóra na niej zrobiła się szorstka. Palce zabarwiły się na brązowo, jakbym zanurzył je w glinie.

Przebiegłem trzysta metrów. Gdy dotarłem do San Martín, głównej ulicy Puerto Deseado, byłem prawie pewny, że śnię. W centrum miasteczka wiało pustką, jakby przed chwilą wybuchła bomba atomowa.

Żołądek podszedł mi do gardła, gdy zobaczyłem, że do pary śladów, za którymi podążałem, dołączyły kolejne. Było ich tyle, że nie mogłem rozróżnić, które z nich należały do pojazdu, który zabrał Gracielę.

– Gdzie jesteś? – westchnąłem.

Nie wiedziałem, co mam robić. Zrezygnowany obróciłem się na pięcie i ruszyłem do domu tak szybko, jak tylko pozwalał na to wiatr. Zanim wszedłem do środka, omiotłem wzrokiem opustoszałe ulice rodzinnego miasta. W żółtym świetle ulicznej latarni widać było spadające kilogramami strugi szarego pyłu, który pokrywał wszystko.

To musiał być sen. W jakiej części świata padają ziemne deszcze?

Gdy zdejmowałem płaszcz, na podłogę posypały się kilogramy kurzu. Przeczesałem ręką sztywne od pyłu włosy, a odbicie, które

zobaczyłem w łazienkowym lustrze, sparaliżowało mnie. Moje włosy, twarz, a nawet rzęsy były pokryte szarym proszkiem. Przypominałem żywy posąg. Tylko na policzkach, gdzie łzy zmyły kurz, prześwitywał prawdziwy kolor skóry.

Myłem twarz tak długo, aż spływająca woda zrobiła się czysta. Potem próbowałem złagodzić nieznośne pieczenie i mrugając powiekami przemyłem oczy pod strumieniem wody. Na koniec przepłukałem spierzchnięte usta, wypluwając drobne ciemne ziarenka, który skojarzyły mi się z wizytą u dentysty.

Ponownie spojrzałem w lustro. Oczy przestały łzawić, ale były przekrwawione. Włosy miałem całe w pyle, a po karku spływały krople brunatnej wody.

O co chodzi? Skąd wziął się ten szary proszek, który po zetknięciu z wodą robił się brązowy?

Gdy ruszyłem do jadalni, aby włączyć radio, zadzwonił telefon.

– Słucham.

– Jak się miewasz, Raúlu Ibáñezie? Dziwny dzień, co?

Przesadnie nosowy głos brzmiał szorstko prawdopodobnie na skutek wieloletniego palenia tytoniu i picia alkoholu.

– Kto mówi?

– Gdy mówię dziwny dzień, to nie mam na myśli jedynie popiołu. Nie brakuje ci czegoś w domu?

– Kto mówi?

– Przejdźmy do rzeczy, Ibáñez. Ani ty, ani ja nie chcemy tracić czasu. Twoja żona jest cała i nie martw się, jeszcze nic jej się nie stało.

Zamarłem bez ruchu i nie byłem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

– Co zrobiłeś z trzema milionami dolarów?

Po plecach przeszły mi ciarki. Zrozumiałem, kto do mnie dzwonił.

– Oddałem je policji – odparłem.

– Część z nich, owszem tak. Ale co zrobiłeś z resztą?

– Z jaką resztą?

– Nie strugaj głupka, Ibáñez. Wiemy, że policji oddałeś jedynie połowę. Jeśli nie zwrócisz nam półtora miliona, który zgarnąłeś, nie zobaczysz już więcej swojej żony.

– Nie. nie, zaczekaj. To pomyłka. Całą forsę oddałem policji. Trzy miliony dolarów.

– Wiesz co, Ibáñez – odpowiedział głos przerywając mi wpół zdania. – Bądźmy dżentelmenami. Wierzę ci. Ale teraz mamy twoją żonę i żądamy w zamian półtora miliona. Zapewniam cię, że to nie ma to nic wspólnego z pieniędzmi, które naszym zdaniem ukradłeś

Sarkastyczny ton mówiącego przez nos faceta brzmiał odpychająco. Ścisnąłem słuchawkę z taką siłą, z jaką zacisnąłbym dłonie na jego gardle.

– Jeśli choć włos spadnie z jej głowy...

– Nie, nie, nie, nie, nie, Ibáñez. Wytłumaczę ci, jak naprawdę przebiega porwanie: porywacz wysuwa żądanie, a krewny porwanej je wypełnia. Masz się słuchać, a nie grozić mi, że mnie zabijesz, gdy coś się przytrafi twojej żonie. Takie sceny zostaw filmowym bohaterom.

– Skąd mam wziąć półtora miliona dolarów? Jestem pielęgniarzem i, żeby związać koniec z końcem, dorabiam spawaniem.

– Rozumiem, że nie będzie ci łatwo rozstać się z taką fortuną. Dlatego dam ci dwadzieścia cztery godziny.

– Rozstać się? Nie. Powtarzam ci, że to pomyłka. Nie zatrzymałem ani jednego....

– Dałbym ci więcej czasu, ale chcę stąd wyjechać jak najszybciej, Ibáñez. W radiu mówią, że nie wiadomo, ile czasu upłynie, zanim ten gówniany popiół zniknie.

– Popiół? – spytałem, myśląc na głos.

– Jeśli chcesz więcej informacji, to włącz radio, Ibáñez. Nie pracuję w wiadomościach. Jestem tu po to, żebyś zwrócił pieniądze i odzyskał żonę.

– Naprawdę przysięgam, że to pomyłka. Wszystko oddałem policji. Nie zatrzymałem ani jednego banknotu...

– Masz dwadzieścia cztery godziny – przerwał mi. – Nie marnuj czasu na przekonywanie mnie. Idź po forsę tam, gdzie ją schowałeś, i nie rozmawiaj o tym z nikim. A tym bardziej z policją, bo i tak się o tym dowiemy, a wtedy, pum i żegnaj Gracielo. Zrozumiałeś? Zadzwonię za dwie godziny.

Rozłączył się zanim zdążyłem cokolwiek dodać.

ROZDZIAŁ 2

Czwartek, 6 grudnia 2018 r., godz. 7:30

„Rozłączył się zanim zdążyłem cokolwiek dodać".

Kończy pisać zdanie na maszynie do pisania i wyciąga z niej kartkę. Trochę bolą go palce. Rzadko pisze coś dłuższego niż e-maile. Ponadto pisanie na Olivetti nie przypomina w niczym pisania na komputerze. To tak, jakby się przesiadł ze swojego Audi do samochodu bez wspomagania kierownicy.

Gdy podnosi się z krzesła, trzeszczy mu w stawach. Kiedyś słyszał powiedzenie, że „jeśli po pięćdziesiątce nic cię nie boli, to znaczy, że jesteś martwy". A on ma pięćdziesiąt pięć lat. To niewiarygodne, że mam już pięćdziesiąt pięć lat – myśli.

Pociera dłońmi kolana, by ulżyć sobie w bólu, ale i rozgrzać się, bo od pasa w dół jest jak kostka lodu. Byłoby wspaniale, gdyby działał stojący kilka metrów dalej grzejnik Jednak dom, do którego się włamał, jest niezamieszkały od dłuższego czasu, a gazownia ma w zwyczaju odcinać dostawy, gdy nie płaci się rachunków.

Na dobitkę piecyk opalany drewnem szczerzy do niego zęby rusztu, jak zwierzę czekające na karmę. Mógłby w nim rozpalić – z boku leży nawet trochę zakurzonego drewna na opał – ale wtedy jakiś sąsiad zauważyłby dym z komina i zdemaskowałby go.

Dzięki Bogu, że przyjechał w grudniu. Już za dwa tygodnie wiosna ustąpi miejsca latu, a dzisiaj na zewnątrz są cztery stopnie.

Podchodzi do ogromnej walizki, którą przywiózł ze sobą, i szuka maszynki, która będzie dla niego jedynym źródłem ciepła przez kilka najbliższych dni. Odkłada na bok ubrania, paczki ryżu, makaronu i konserwy. Wyjmuje też drewniane pudełko po kubańskich cygarach Montecristo. W końcu na dnie znajduje małą czarną plastikową walizeczkę.

Otwiera ją i wyjmuje z niej gazową maszynkę kempingową, którą kupił w sklepie z narzędziami w Comodoro. Wszyscy mówią na nią kuchenka, ale jemu bardziej podoba się nazwa, widniejąca drukiem na pudełku: maszynka. Znajduje również dwanaście kartuszy z butanem, które kupił w tym samym sklepie. Wyglądają jak aerozol i są trochę większe niż pojemnik dezodorantu.

Podłącza nabój do maszynki, opuszcza dźwignię, a szum uwalnianego płynu oznajmia, że wszystko jest gotowe. Przekręca pokrętło do końca i gaz zapala się z trzaskiem. Voilà i już ma ogień, na którym może gotować. I ciepło, przy którym może się ogrzać – myśli, rozcierając ręce nad płomieniem.

Wraca do walizki i zaczyna porządkować swoje zapasy. Otwiera szafkę kuchenną, w której stoi tylko opakowanie proszku do szorowania garnków. Uśmiecha się. Nie może uwierzyć, że to właśnie w Puerto Deseado ktoś je kupił. To niesłychane, a zarazem absurdalne, bo po 1991 roku w połowie prowincji nie brakowało darmowego proszku do szorowania.

Układa opakowania z żywnością w spiżarce i uspakaja się na ich widok. Ma wystarczająco dużo jedzenia, aby przez kilka dni nie musieć wychodzić po zakupy.

Wibrujący telefon oznajmia nadejście nowej wiadomości. To Dani, jego jedyny syn.

„Tato, już dłużej nie wytrzymam. Musisz przyjechać i mi pomóc".

Nie odpisuje mu. Na szczęście telefon jest tak skonfigurowany, że Dani nie dostanie potwierdzenia odczytu wiadomości.

Wskaźnik baterii aparatu zmienia kolor na czerwony, ostrzegając, że pozostało mu już tylko pięć procent pojemności. Odruchowo rozgląda się za gniazdkiem, ale szybko przypomina sobie, że w domu

od lat nie ma prądu i śmieje się na myśl, jak bardzo bezradny staje się człowiek pozbawiony wygód, do których przywykł.

Kolejną dobrą stroną przyjazdu w grudniu jest naturalne światło od piątej rano do jedenastej w nocy.

Przeszukuje bagaż i znajduje jedną z trzech baterii wymiennych do telefonu, które zabrał ze sobą. Według sprzedawcy, każda z nich ma wystarczyć na dwa doładowania aparatu – w sumie więc ma ich sześć. Biorąc pod uwagę jak mało korzysta z telefonu, powinny mu wystarczyć na cały pobyt, nawet gdyby ten się przeciągnął.

Podłącza aparat do baterii i wraca do spiżarki. Wybiera rosół błyskawiczny. Bierze najmniejsze z metalowych naczyń kupione w sklepie żelaznym. Sprzedawca powiedział mu, że idealnie nadają się na kemping, gdyż są lekkie i oszczędzają miejsce, bo mieszczą się jeden w drugim. Największe z nich to prawdziwy garnek, w którym można przygotować makaron dla dwóch osób. Najmniejsze to szeroki i niski kubek.

Ma szczęście, że w niezamieszkałym domu, nie odcięto wody. To był słaby punkt jego planu. Ale w Puerto Deseado nie ma liczników wody i czasami nie odłączają jej pomimo wielu lat zalegania z opłatami.

Bez prądu i gazu da się przeżyć, ale nie bez wody. Musiałby wtedy od czasu do czasu iść do hotelu lub kupić butelkowaną wodę. Obie opcje były bardzo ryzykowne, bo mógłby go ktoś rozpoznać.

Zupa zaczyna wrzeć, więc zdejmuje ją z ognia, nabiera odrobinę na łyżkę, dmucha kilkukrotnie i smakuje. I chociaż trochę parzy usta, to gorący płyn dobrze mu zrobi na żołądek. Trzymając naczynie oburącz wraca do Olivetti i ponownie czyta to, co właśnie napisał.

Bardzo źle – myśli. Beznadziejnie. Historia powinna zaczynać się wcześniej, na osiem dni przed opadami popiołu. Jeśli nie opowie o wypadku, to nikt nie zrozumie całości.

Odstawia zupę na bok i nawija nową kartkę na wałek maszyny do pisania.

ROZDZIAŁ 3

Poniedziałek, 5 sierpnia 1991, godz. 8:00

Nie uśmiechała mi się zbytnio perspektywa podróżowania trzysta kilometrów samochodem, by wziąć udział w czterdziestominutowym egzaminie. Ale skoro chciałem studiować, a mieszkałem w Puerto Deseado, to nie miałem innego wyjścia. Wtedy studiowanie było o wiele bardziej skomplikowane niż obecnie, gdy nawet lodówka jest połączona z chmurą. Przed nastaniem internetu uczelnia wysyłała materiały do nauki zwykłą pocztą i raz w miesiącu trzeba było się stawić w siedzibie Universidad de la Patagonia w Comodoro Rivadavia i przystąpić do egzaminów.

Studiowałem pielęgniarstwo, a wcześniej byłem wojskowym sanitariuszem. Dwa lata temu pojawiła się możliwość przejścia do cywila i podjęcia pracy w szpitalu w Puerto Deseado. A ponieważ miałem już dość wojskowego drylu, więc poprosiłem o zwolnienie z sił zbrojnych. Pewien doświadczony pediatra przestrzegał mnie, że „szpital to nie koszary", ale w miarę szybko przystosowałem się do nowej rzeczywistości.

Kilka miesięcy po rozpoczęciu pracy w szpitalu pojawił się problem. Weszła w życie ustawa wymagająca posiadania dyplomu ukończenia studiów od personelu pielęgniarskiego prowincji. A ponieważ mój dyplom pielęgniarski wydało ministerstwo obrony, a nie edukacji, to stał się on bezużyteczny. Jeśli chciałem zachować etat, to musiałem podjąć studia w pierwszym roku obowiązywania nowego prawa

i ukończyć je w czasie krótszym niż pięć lat. Dla mieszkańca Puerto Deseado oznaczało to sześciogodzinną podróż na każdy egzamin, trzy godziny w jedną stronę i trzy godziny z powrotem. Tamtego dnia miałem egzamin z psychologii ewolucyjnej.

Na szczęście zapowiadała się idealna pogoda na samochodową przejażdżkę. Na niebie nie było ani jednej chmury, która zasłaniałaby wiszące nisko zimowe słońce, a szron na asfalcie się rozpuścił. Na rozmarzniętych polach, z których znikł zeszłotygodniowy śnieg, pasły się stada guanaków.

Trasa była monotonna, zwłaszcza dla kogoś, kto pokonał ją tyle razy, co ja. Monotonia nie była jednak dla mnie problemem. Dzięki niej zyskiwałem trzy godziny na mentalną powtórkę najważniejszych tematów egzaminu.

Ponadto ta konkretna podróż miała również inny cel – moje nowiutkie Renault 9, które nazwałem po prostu „Dziewiątką", powinno przejść pierwszy przegląd i chciałem je oddać do autoryzowanego dilera w Comodoro. I to nie dlatego, że w Puerto Deseado nie mieliśmy dobrych mechaników. Coco Hernández był tak samo dobry, a może nawet lepszy niż mechanicy w Comodoro. Miał jednak jedną wadę: umawiając się z Coco wiedziałeś, kiedy twój samochód wjedzie do warsztatu, ale nie miałeś pewności, kiedy wyjedzie. „Za klika dni będzie gotowy" – zwykł obiecywać, ale mogło równie dobrze minąć kilka tygodni.

Byłem na wysokości siedemdziesiątego kilometra, gdzieś w połowie jednej z najdłuższych prostych dróg w Argentynie, gdy w lusterku wstecznym zobaczyłem zbliżający się czarny pojazd. Na trasie tak monotonnej i odludnej jak ta, każda interakcja z innym człowiekiem wzbudzała emocje, nawet gdy był to pędzący kierowca, który mijał cię szybko i po chwili znikał za horyzontem.

W odległości dwustu metrów ode mnie samochód zjechał na drugi pas i wyprzedził mnie w mgnieniu oka. Miałem wrażenie, że Dziewiątka stanęła w miejscu. To było piękne coupe Fuego, które, sądząc po stu dziesięciu kilometrach na godzinę na moim liczniku, musiało gnać z prędkością co najmniej sto sześćdziesiąt.

Po niecałej minucie zostałem daleko w tyle. Jeszcze chwila i coupe zamieni się w czarną kropkę na widnokręgu. Ale zanim tak się stało samochód zahamował i, próbując ominąć guanaka, zjechał niespodziewanie na przeciwległy pas. Lewe koła złapały pobocze, a kierowca próbując naprawić błąd odbił w prawo. Samochód obrócił się prostopadle do trasy i z pełną prędkością wystrzelił w pole.

Pozbawione kontroli coupe przeorało niskie zarośla, aż jedno z przednich kół wpadło w zagłębienie w ziemi powodując, że samochód zaczął dachować.

Patrzyłem ze zdumieniem, jak pojazd kilkukrotnie obraca się wokół własnej osi waląc w ziemię to dachem to podwoziem i wzniecając tumany kurzu rozwiewane przez wiatr.

Guanaki zerwały się galopem, przeskoczyły przez resztki ogrodzenia, przecięły asfalt i rozbiegły się po polu.

Zatrzymałem Dziewiątkę na wysokości miejsca wypadku i pobiegłem na ratunek. Dachujące Fuego porwało drucianą siatkę na długości pięćdziesięciu metrów.

Przyglądając się z daleka metalowej masie, pomyślałem, że na szczęście samochód stanął kołami na ziemi. To ułatwi mi udzielenie pomocy ludziom w środku. Jednak, w miarę jak zbliżałem się do celu moja nadzieja na uratowanie kogokolwiek powoli gasła. Dach był wgnieciony do wysokości dolnej części okna. Pojazd wyglądał jak puszka piwa zmiażdżona przez olbrzyma.

Przez okno, z którego została tylko dwudziestocentymetrowa szczelina, zobaczyłem puste siedzenie szofera i kierownicę poplamioną krwią. Rozejrzałem się wokół samochodu szukając ciała, które mogło wypaść przez przednią szybę i wylądować gdzieś w polu. Nic. Okrążyłem pojazd i wtedy dostrzegłem bosą kobiecą stopę wystającą z rozbitego tylnego okna. Paznokcie stopy były pomalowane na fioletowo.

Podszedłem i ostrożnie włożyłem głowę do środka, starając się nie dotykać ciała. W trakcie dachowania kobieta utknęła w przestrzeni między tylną kanapą a przednimi siedzeniami, wygięta w sztucznej pozycji. Głowę miała wciśniętą pod przednie siedzenie, biodra

spoczywały na dużej beżowej walizce; jedna noga wystawała przez tylną szybę, a druga leżała wykręcona w nienaturalnym położeniu.

– Nic ci nie jest? – zapytałem. Spojrzałem na nieruchomą pierś. Kobieta nie oddychała.

Nie było odpowiedzi. Ciszę przerywało jedynie syczenie powietrza uchodzącego z uszkodzonych przewodów i trzaski stygnącego silnika.

– Hej! Słyszysz mnie? Nie martw się. Na pewno zaraz ktoś będzie przejeżdżał i poślemy go do Jaramillo, by wezwał karetkę.

Nic.

Paznokciem kciuka przejechałem po podeszwie stopy, ale nie było żadnej reakcji. Zły znak. Ta kobieta potrzebowała natychmiastowej pomocy.

Coupe było tak zdeformowane, że nie mogłem otworzyć drzwi. Obszedłem pojazd, ale strona kierowcy była w jeszcze gorszym stanie. Kobietę można było wydobyć jedynie za pomocą palnika.

Przez okno pasażera dostałem się do wnętrza samochodu. Zważając na odłamki potłuczonego szkła i porwaną blachę przecisnąłem się na tylne siedzenie. Wtedy zobaczyłem wypływającą z piersi kobiety krew, która formowała coraz większą plamę i wiedziałem, że jest już za późno na pomoc. Sprawdzenie pulsu na szyi było czystą formalnością.

Na chwilę zamknąłem oczy. Byłem pielęgniarzem, ale i tak ta śmierć mną wstrząsnęła.

Mimo pewności, że kobieta nie żyje, postanowiłem wypełnić swój obowiązek i wezwać pomoc medyczną. Nie mogłem się zdecydować, czy lepiej będzie pojechać do oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów Jaramillo, gdzie był telefon, ale nie było karetek pogotowia, czy może wrócić siedemdziesiąt kilometrów do Deseado. A może lepiej poczekać na inny przejeżdżający pojazd? Jednak czekanie na takim pustkowiu mogło trwać całe godziny.

Obmacałem kieszenie ubrania kobiety w poszukiwaniu dokumentów. Bez skutku. Gdy zacząłem wyczołgiwać się z samochodu, zauważyłem, że beżowa walizka, na której spoczywało ciało, jest rozerwana. Jej zawartość wprawiła mnie w osłupienie.

Dolary. Banknoty, wiele plików banknotów poplamionych krwią.

Usiadłem na przednim fotelu pasażera, by ochłonąć. Kobieta nie żyła, więc nie było sensu spieszyć się z wezwaniem karetki pogotowia. Poczułem się nieswojo, gdy uświadomiłem sobie, że bardziej zajmuje mnie myśl, co zrobić z walizką wypełnioną dolarami niż leżące na niej, powykręcane zwłoki.

Bez wątpienia te pieniądze należało zwrócić ich właścicielowi. Ale kto przewozi taką ilość gotówki prywatnym pojazdem? Musiały pochodzić z jakiegoś szemranego interesu. Zapewne z handlu narkotykami, hazardu lub prostytucji. Tym bardziej należy je zwrócić. Zadzieranie z takimi typami to kiepski pomysł.

Z drugiej strony, gdybym je zatrzymał...

Banknoty, które właśnie odkryłem, miały nominał stu dolarów. Przypomniał mi się film kryminalny oglądany niedawno razem z Gracielą, w którym kliku facetów ukradło torbę wypchaną identycznymi plikami. O ile dobrze zapamiętałem, to w standardowej walizce mieściło się kilka milionów. Trzy? Pięć? Nie mogłem przypomnieć sobie dokładnie ile, ale w każdym bądź razie było to mnóstwo pieniędzy. Tak dużo, że nie mogłem powstrzymać się od fantazjowania na temat, co mógłbym zrobić z taką kwotą.

Na początek rzuciłbym pracę. Kupiłbym kilka nieruchomości na wynajem, podróżowałbym po świecie. Sprawiłbym sobie porządny samochód albo kilka różnych. I dom w Bariloche z widokiem na jezioro. Tak, to właśnie bym zrobił i prawdopodobnie nie wydałbym ani połowy tej sumy. Takie myśli przychodzą, gdy masz mentalność biedaka.

No a co by się stało z pieniędzmi, gdym je tu zostawił? Z pewnością zawłaszczyłaby je policja albo jakiś sędzia. Albo by się podzielili. Coś mi podpowiadało, że te dolary znikną, zanim zostaną gdzieś zdeponowane.

Wyjrzałem przez rozbitą szybę. Na drodze nie było nikogo.

Wziąłem głęboki oddech i uklęknąłem na siedzeniu, by wyciągnąć walizkę. Szarpnąłem, próbując ją unieść, ale tylko ją mocniej rozerwałem, odsłaniając jeszcze więcej paczek z dolarami.

Potem uświadomiłem sobie, że w coupe nie ma tylnych drzwi. Wyszedłem więc przez okno. Nacisnąłem dźwignię w skórzanej

tapicerce i przedni fotel pasażera złożył się z trzaskiem miażdżonego szkła i odsłonił dostęp do tylnych siedzeń.

Lekko pchnąłem kobietę, aby odciążyć walizkę, a potem ostrożnie, by nie uszkodzić jej jeszcze bardziej, wyciągnąłem bagaż z pojazdu.

Przeniesienie go prawie sto metrów przez środek pola do mojego samochodu, okazało się znacznie trudniejsze niż mi się wydawało. Kilka minut zajęło mi pokonanie suchego i nierównego terenu, porośniętego czarnymi krzakami, ostnicami i berberysami. Cały ten czas myślałem tylko o tym, że ktoś nadjedzie, zobaczy moje auto, zmiażdżone coupe i zatrzyma się, chcąc udzielić pomocy. Jak bym mu wtedy wytłumaczył, dlaczego zabieram z miejsca wypadku, dosłownie, kilogramy pieniędzy?

I chyba miałem dar ściągania nieszczęść, bo gdy tylko dotarłem do asfaltu, zobaczyłem w oddali zbliżającą się z dużą prędkością czerwoną kropkę.

Spokojnie, Raúl – powiedziałem do siebie. Jeśli samochód, który widziałem na horyzoncie, był dla mnie niewielkim punktem, tak samo wyglądał mój pojazd w oczach nadjeżdżającego kierowcy. Z takiej odległości nikt nie mógł zobaczyć, jak pośpiesznie otwieram bagażnik samochodu i wrzucam do niego walizkę.

Gdy dolary były już bezpieczne, wyszedłem na drogę i zacząłem machać rękami w kierunku czerwonej kropki, która powoli nabierała kształtu furgonetki.

Ford F100, który zatrzymał się na mój znak, miał typowe dla wiejskich pojazdów drewniane wykończenia wzdłuż karoserii. Wysiadł z niego wysoki postawny mężczyzna w espadrylach. Nie miał pięćdziesięciu lat.

– Co się stało? – zapytał, przykładając rękę do daszka szarej czapki i spoglądając w kierunku przewróconego coupé.

– Jechał szybko i wpadł w środek stada przechodzących guanaków. Byłem tego świadkiem.

– Trzeba udzielić im pomocy – powiedział, gotując się do biegu w stroną miejsca dachowania.

– Już nic nie da się zrobić. Nie żyje.

Słysząc moje słowa, przystanął.

– Kto?

– Kobieta, która prowadziła samochód.

Mężczyzna bez słowa odwrócił się do mnie plecami i puścił się biegiem w stronę coupé. Oparłem się o bagażnik mojego samochodu, myśląc bardziej o tym, co mam w bagażniku, a nie o zwłokach.

– Uwierz mi – krzyknąłem za nim. – Ona nie żyje. Jestem pielęgniarzem.

– Tak czy tak trzeba powiadomić szpital, prawda? Albo policję?

– Wystarczy jedno z nich. Są w stałej łączności. Mogę wrócić do Deseado i zgłosić wypadek w szpitalu. Pracuję tam.

– Ale chyba zmierzałeś w przeciwną stronę? – zapytał, wskazując kierunek, w którym jechał mój samochód.

– Tak, ale mogę to przełożyć. Jechałem na egzamin do Comodoro, ale po tym co się wydarzyło, raczej nie będę w stanie się skupić.

– A może lepiej będzie, jeśli ty tu zostaniesz, a ja zawiadomię służby? Byłeś świadkiem wypadku, a policji przydadzą się twoje zeznania.

– To nie sprawa o morderstwo – skwitowałem. – To wypadek drogowy. Ślady hamowania widoczne na asfalcie zaczynają się w połowie prostej, na której prawie zawsze są guanaki. To dość oczywiste, co się tu wydarzyło. Poza tym zgłoszę się na policję i opiszę im każdy szczegół wypadku.

– A ja uważam, że skoro widziałeś, co się stało, to powinieneś tu zaczekać.

Mężczyzna zawiesił wzrok na bagażniku mojego samochodu. Ukradkiem spojrzałem w tym samym kierunku, gdyż byłem pewien, że zobaczę studolarówkę wystającą z kufra, albo plamę krwi na blasze. Ale nie, niczego takiego nie zobaczyłem. Wtedy zrozumiałem, że mężczyzna nie patrzy na bagażnik, tylko spogląda kilka centymetrów niżej. Próbował zapamiętać numer rejestracyjny mojego samochodu.

– No dobrze – powiedziałem w końcu. – Jedź i zgłoś wypadek, a ja poczekam tu na policję.

– Zgoda – odpowiedział, robiąc kilka kroków w moją stronę. Gdy znalazł się w odległości jednego metra ode mnie, wyciągnął potężną, pokrytą odciskami dłoń i spojrzał mi prosto w oczy.

– Néstor Cafa – przedstawił się.

– Raúl Ibáñez.

Cafa wsiadł do furgonetki i ruszył do odległej o siedemdziesiąt kilometrów miejscowości, by zgłosić wypadek.

Gdy wróciłem do domu, było już prawie południe. Od rozstania z Néstorem Cafą, do przyjazdu policyjnego patrolu z Deseado, upłynęły dwie godziny, a drogą przejechało pięć innych pojazdów. Wszyscy przejeżdżający zatrzymywali się i pytali się, co się stało i czy mogą w jakiś sposób pomóc.

Policyjne formalności trwały krócej niż się spodziewałem. Zapytali mnie, co widziałem, a ja zrelacjonowałem im zdarzenie ze wszystkimi szczegółami, pomijając jedynie fakt, że pod zwłokami znalazłem małą fortunę i ukryłem ją w swoim samochodzie.

Gdy powiedzieli, że jestem wolny, zawróciłem na drodze i odjechałem w kierunku Deseado.

Po powrocie zastałem drzwi otwarte jak zawsze, ale Gracieli nie było w środku. Kilka godzin wcześniej, gdy całowałem ją na pożegnanie przed wyjazdem do Comodoro, powiedziała mi, że przedpołudnie spędzi w bibliotece miejskiej, gdzie organizowała jakieś szkolne zajęcia. Uznałem, że za niedługo wróci, bo bibliotekę zamykano za pół godziny.

Usiadłem na krześle w jadalni, postawiłem zakrwawioną walizkę przed sobą na stole i próbowałem opanować zawroty głowy oraz przerażenie, które wywołały nerwowe kłucie w klatce piersiowej. Wiedziałem, że będę musiał ją oddać, ale nie mogłem oprzeć się myśli, że tam w środku znajduje się przepustka do lepszego życia dla mnie, dla Gracieli i planowanego potomstwa. O ile Bóg da.

Otworzyłem walizkę. Była wypełniona po brzegi wiązkami studolarówek przepasanymi białą papierową opaską bez żadnego nadruku. Wziąłem do ręki jeden ze zwitków i przeliczyłem banknoty. Sto. Trzymałem w ręku dziesięć tysięcy dolarów, o wiele więcej niż mógłbym

zarobić pracując przez cały rok bez wytchnienia – nawet gdybym przystał na wszystkie szpitalne dyżury, a w dni wolne od pracy pracował do białego rana w moim warsztacie spawalniczym.

Zacząłem układać pliki banknotów w stosy po dziesięć sztuk każdy, aż opróżniłem walizkę.

– To mnóstwo kasy – powiedziałem głośno, przyglądając się zielonej górce. Trzy miliony dolarów to mnóstwo kasy.

Gdy chwilę po pierwszej do domu wróciła Graciela, podjąłem już decyzję, co zrobię.

– Coś się stało, Roli? – spytała w drzwiach zaskoczona widokiem mojego samochodu zaparkowanego pod domem.

W ułamku sekundy zauważyła stosy dolarów ułożone na stole.

– Co to jest? – spytała. Opowiedziałem jej całe zdarzenie.

Gdy skończyłem opowieść, nie odezwała się ani słowem. Wpatrywała się w zakrwawione banknoty z tęsknym wyrazem twarzy, a z jej oczu można było wyczytać, że bije się z myślą o ich oddaniu i wyobraża sobie na co mogłaby je wydać

– Przywiozłem je do domu, żeby nikt ich nie ukradł, ale ich nie zostawię. Zaniosę je na policję, Graciela.

– Po co? Żeby je przywłaszczyli?

– Taka forsa nie może zniknąć tak po prostu. Należy do kogoś niebezpiecznego, kto z pewnością bez problemu dowie się, że byłem pierwszą osobą, która zjawiła się na miejscu wypadku.

Graciela zamyśliła się. Wiedziała, że mam rację, ale obawa, że właściciel zgłosi się po swoją własność, była o wiele słabsza niż magnetyczna siła ciemnej zieleni leżącej na stole.

– A jeśli stąd wyjedziemy? Z taką sumą możemy rozpocząć nowe życie, gdziekolwiek się nam zamarzy.

– Graciela, to miasteczko, to całe moje życie.

– A nie marzyłeś nigdy o podróżowaniu? Ile to razy mi opowiadałeś, że chciałbyś zmieniać miejsce zamieszkania co kilka miesięcy? A to jest świetna okazja ku temu. Moglibyśmy zniknąć razem.

– Podróżować a zniknąć to nie to samo. Ty wiesz to najlepiej.

Graciela zacisnęła usta. Jej reakcje nie zaskoczyła mnie. Za każdym razem, gdy chciałem dowiedzieć się, co robiła w Mendozie, zanim dwa lata temu przeprowadziła się do Puerto Deseado, napotykałem ten sam mur milczenia.

– Znowu zaczynasz? Nie dotarło do ciebie jeszcze, że przyjechałam tutaj, aby zacząć wszystko od nowa?

Podeszła do mnie i przytuliła rękoma moją twarz.

– I zobacz, udało mi się. Spotkała mnie najlepsza rzecz pod słońcem.

Zawsze odwracała kota ogonem w ten sam sposób: komplementem, pocałunkami lub uśmiechem. Jednak prawda była taka, że poznaliśmy się rok temu, od pół roku mieszkaliśmy razem, a ona wciąż ukrywała skrzętnie przede mną swoją przeszłość. Wiedziałem tylko, że była okropna. I to nie dlatego, że ona sama mi to wyznała, ale dlatego, że nocami budziła się spocona z krzykiem na ustach.

– A ja ci obiecałem, że uszanuję twoją decyzję i nie będę cię więcej wypytywać o twoje życie w Mendozie – zgodziłem się zrezygnowany głaszcząc jej dłonie. – Ale też chcę, żebyśmy się rozumieli: fakt, że zerwałaś więzi ze swoim poprzednim życiem, nie oznacza, że ja mam postąpić tak samo.

Powiedziałem te słowa łagodnym tonem, aby zabrzmiały raczej jako wyjaśnienie, a nie zarzut.

– Chcę podróżować, ale to o czym mówimy kochanie jest ryzykowne – dodałem. – Każdy, bez wyjątku, z łatwością dowie się, że mam brata w Salcie. Jeśli nie znajdą mnie, pójdą po niego.

– A może zatrzymamy część, a resztę oddamy?

– Nie, Graciela! – krzyknąłem, zmieniając ton głosu. – Nic nie rozumiesz? Zatrzymanie choćby jednego banknotu oznacza kłopoty. Poważne kłopoty. Łatwo ci jest mówić o zniknięciu, bo nie masz rodziny. Ale ja nie mogę. Nie zamierzam z powodu forsy narażać życia jedynego krewnego, który mi pozostał. Jeszcze dziś po południu zawiozę całość na policję.

Graciela nie poddawała się tak łatwo. Była kobietą zwyczajną walczyć o to, czego pragnęła, nawet jeśli wszyscy się od niej odwrócili.

Próbowała podejść mnie na różne sposoby, ale ja za każdym razem powtarzałem, że mnie nie przekona, że decyzja już zapadła.

Jednak nie wiedzieliśmy, ani ona, ani ja, że była to najgorsza decyzja w moim życiu.

Biuro znajdowało się na pierwszym piętrze komisariatu, na końcu korytarza. Podoficer, który mnie prowadził, zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami z małą złotą tabliczką „Komisarz Manuel Rivera" i zastukał trzykrotnie.

– Proszę wejść – usłyszeliśmy głos dochodzący ze środka.

Podoficer zasalutował i odszedł, zostawiając mnie samego. Otworzyłem drzwi lewą ręką, a w prawej ściskałem torbę.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Dziękuję za przyjęcie.

– Proszę wejść, proszę wejść – powiedział, nie odrywając wzroku od dokumentów, które trzymał w ręce. – Zaskoczył mnie pan prosząc telefonicznie o spotkanie ... A to, co to jest?

Jego wzrok spoczął na wielkiej, beżowej, podartej walizce z wielkimi plamami w kolorze ochry, którą właśnie postawiłem na podłodze.

– Znalazłem ją dziś rano w coupe.

– Okradłeś zmarłą osobę z bagażu?

– Gdybym ją okradł, nie byłoby mnie tutaj, prawda?

– Ale zataił ją pan przed nami.

– No tak.

Nie czekając na kolejne pytania, położyłem walizkę na biurku i otworzyłem, pokazując pliki banknotów. Część z nich była ubrudzona krwią.

– Leżała między siedzeniem pasażera a tylną kanapą, komisarzu. Zabrałem ją, bo nie wiedziałem, kto pierwszy zjawi się na miejscu wypadku. Nie chciałem problemów i pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli ją schowam i przyniosę tutaj po południu. Dlatego poprosiłem o rozmowę właśnie z panem.

– I w zeznaniu, które spisaliśmy dziś rano, również nie wspomniał pan o walizce. – Wskazał ręką dokumenty na biurku.

– Nie, nic nie powiedziałem, z tego samego powodu. Gdybym o niej wspomniał, kazali by mi ją oddać, a ja wolałem przekazać ją w pańskie ręce i spisać nowe oświadczenie. Wszyscy mówią, że jest pan uczciwym człowiekiem i wierzę, że zadba pan o to, aby te pieniądze wróciły do ich właściciela.

– Ile tego jest?

– Trzy miliony dolarów.

– Ciężko będzie znaleźć właściciela.

– Dlaczego tak pan mówi?

– Nikt kto legalnie zarobił trzy miliony dolarów nie paraduje z nimi w walizce po mieście. To pieniądze z narkotyków, prostytucji czy czegoś podobnego.

– Tak, ja również przypuszczam, że pochodzą z wątpliwego źródła. Tym bardziej należy je zwrócić.

– To prawda.

– I co dalej?

– Co ma pan na myśli?

– Co się z nimi stanie? – spytałem, wskazując na banknoty.

– Pozostaną pod naszą opieką, a kiedy wyjaśnimy, do kogo należą, poprosimy tę osobę o dziesięć tysięcy dokumentów na uzasadnienie pochodzenia tej kwoty.

– A co się stanie, jeśli nie będzie mógł tego wytłumaczyć? Jeśli to są naprawdę brudne pieniądze?

– Wtedy zostaną zarekwirowane i przejdą na własność państwa. O ile jakaś gruba ryba z rządu albo sąd nie sprawi, że znikną na zawsze.

– To znaczy, że ostatecznie ktoś je sobie przywłaszczy.

Komisarz położył mi dłoń na ramieniu.

– Dobrze się pan spisał, Ibáñez. Nie ma znaczenia, co się z nimi później stanie. Zrobił pan dobrze, zwracając je nam.

Ale jego spojrzenie mówiło co innego. Na jego twarzy malował się wyraz smutku, jak u osoby, która rozważa straconą szansę. Może to tylko moja wyobraźnia, ale coś w jego oczach mówiło mi, że nie postąpiłem dobrze. Powinienem był ukryć te pieniądze i zatrzymać je dla siebie. Zgłaszając się na policję, tak naprawdę je wyrzuciłem.

– Panie komisarzu? – zapytałem nieśmiało.

– Proszę mówić.

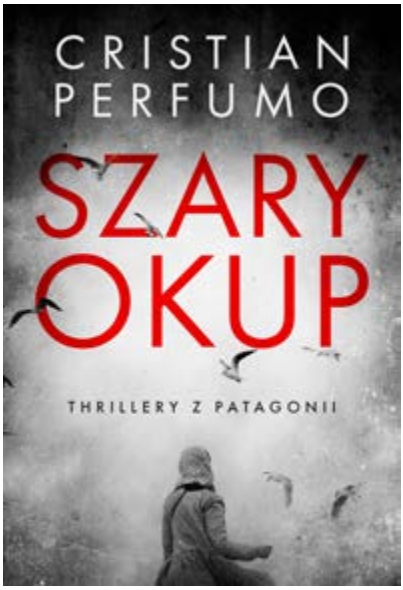
– Kim była ta martwa kobieta?

– Tego nie mogę panu powiedzieć. Właśnie wszczęliśmy dochodzenie i nie możemy ujawniać takich informacji.

– Ależ, panie komisarzu, po tym co zrobiłem – zaprotestowałem, wskazując na walizkę – nie uważa pan, że mógłbym przynajmniej wiedzieć, kogo próbowałem ratować?

– Proszę wybaczyć, Ibáñez, ale to byłoby wbrew prawu. W każdym razie, proszę się nie martwić. Tożsamość ofiar zwykle utrzymujemy w tajemnicy tylko przez kilka pierwszych godzin.

(koniec fragmentu)



SZARY OKUP

Puerto Deseado, Patagonia, Argentyna, 1991. Raúl pracuje na dwóch etatach, aby związać koniec z końcem. Gdy budzi się rano, by pójść do pierwszej pracy, zauważa, że coś jest nie tak. Całe miasteczko jest pokryte warstwą wulkanicznego popiołu, a jego żona, Graciela, znika z domu.

Wszystko wskazuje na to, że Graciela gdzieś wyszła w nocy... do chwili, gdy dzwonią porywacze. Instrukcje są jasne – jeśli chce ją jeszcze zobaczyć, musi oddać półtora miliona dolarów, które ukradł.

Rzecz w tym, że Raúl niczego nie ukradł.

Psychologiczny thriller, którego akcja obejmuje dramatyczne wydarzenia, które trwale zapisały się w historii Patagonii: erupcję wulkanu Hudson.

Książka autora finalisty konkursu literackiego Premio Clarín de Novela 2018 i laureata Nagrody Literackiej Amazon 2017.

Więcej informacji na: www.autornia.com

Podoba Ci się fragment powieści

Cristiana Perfumo

i

chcesz poznać dalszy ciąg historii?

Zapisz się na newsletter:

www.autornia.com

To proste. Jeden klik i zapisujesz się.

Nie spodoba Ci się?

Jeden klik i wypisujesz się.

Bez tłumaczenia, bez zobowiązań.